Tygodnik

17 Lipca — 29. — 1819.

Szczęśliwy kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył!
KRASICKI wiersz przedostatni Myszeidy

RYM

DO P. GENTILE BORGONDIO
sławnej Śpiewaczki z Brescia.

Apollina córo miła!
Którą dla wesela ziemi
Szczęśliwie dłońmi boskiemi
Harmonija wykarmiła;
Bresciańskiej ojczyzny chlubo!
Świeżym wawrzynem lutnię polską zdobię
I wdzięk kołysany lubo,
Święcę BORGONDIO Tobie.

Twoim głosem zadumiony
  Świetne talent wznosi dłonie
  A twe uwieńczajǫc skronie,
Dla ciebie ożywià struny.
  Sława stem ust ci się śmieje,
Stem skrzydeł za tobǫ leci,
  I zdziwione Wisły dzieci
Twej piersi radościǫ grzeje.
  Równǫ natchnione roskoszǫ,
  I moje cię usta głoszǫ,
Lecz twórcza myśli wǫtleje potęga
  Gdy po własność Bóztwa sięga.
Tak malarz co pędzla chwałǫ
  Zadziwienie rozpościerał,
  Życie i wdzięki naturze wydzierał,
      Dłoniǫ zuchwałǫ;
Chciał jeszcze zawstydzić nieba
  I drugiego stworzyć Feba:
Dzielny gieniusz nie odmówił siły,
Nieme płótna przemówiły;
      Czasu rękǫ ocucony,
Toczy na świat syn Latony
Gorejǫcym rumaki kopytem iskrzyły,
  Słoneczne warczeć zdawały się koła,
  Światło z boskiego wytryskało czoła;
Lekko na lekkim plǫsajǫc obłoku,
  Tchnęły Godziny weselem pogody
  A dzień zmyślone rumieniǫcy wody

Budził się w oku.
Noc była; mistrz odpoczął czekający chwały;
Spojrzało bóstwo: czarodziejstwo znika
I nad zmyloném dziełem śmiertelnika,
Muzy łzami się zalały.
Pięknie się jednak zbliżyć do Piękności progu,
Chlubnie ziemiankę miłą Delfickiemu Bogu
Pożyczoném uczcić pieniem.
A własną skroń choć jednym uwieńczyć promieniem.
Pięknością się sztuka zowie,
Żyje w dłucie, w pędzlu, w słowie,
Córka wolności, matka obyczajów
Dzieło i chwała człowieka,
Na piórach myśli dziewiczej ucieka
Do nieśmiertelności krajów.
Lecz już Śpiewaczka Idalijska staje:
Skądże to Anielskie pienie?..
Wdzięk mu i siły dało przyrodzenie,
A smaku sztuka dodaje,
Toczy się głos czarowniczy,
Z piersi do piersi radość rozpościera,
Ciekawość chciwa nieznanej słodyczy,
W ręku roskoszy umiera.
Milczenie dziwu ogniwem,
Godzinę krępują rączą:
A w upojeniu szczęśliwém
Serca i dusze się łączą.
Błędne, uchodzące tony,

Powietrze ożywione całuje i pieści,
Dźwięk rodzący się ściga dźwięk zgubiony,
Wesele w weselu mieści.
Z wieńcem każda chwila leci,
Sama radość sercem bije,
Przyjemność w niém tylko nieci,
I sama nią tylko żyje.
Natenczas lubość upaja najżywsza,
Roskosz ogarnia najtkliwsza,
Gdy wszystkie zmysły ujmując w ogniwa,
Jeden z sobą zmysł porywa.
Tak gdy się twe pienie toczy
Tracę język tracę oczy;
Roskosz tylko towarzyszy,
A choć na łonie roskoszy
Cudowny się dźwięk rozproszy!
Ah! jeszcze go dusza słyszy.
O! kunszcie boski! Borgondji śpiewię!
Już ci się wnucy nie będą dziwili.
A wawrzyn zwiędły na potomném drzewie
Przypomni tylko żeś dziecięciem chwili.
Nicże cię ścignąć nie zdoła,
Gdy już ulecisz do bóstwa podwoi?
Nicże zgasłego dźwięku nie przywoła?
Ust wieku nim nie napoi?
Niechże lat dalszych zazdrości go wyda
Dłuto Kanowy, lub pędzel Dawida!

Stwarzają: barwa i bryła
Wzrok i duszę zachwyciła.
Talent kunsztownych omamień,
Życie na płótnie zda się rozpościerać,
Pięknością oddycha kamień,
Słowo z ust zimnych zdaje się wydzierać
Lecz siły nie masz w śmiertelnika ręku,
By wdzięk uszłego wyobrazić dźwięku
Uczucia tylko uczuć są obrazem
I wieszczym tylko wyrazem
Chwili mogą być wydarte.
W wieku co kołysał dziwy,
Kiedy pasterskie Achiwy
Młodzieńczym w lata postępując krokiem,
Szukać poczęły i myślą i okiem
Kunsztów weselącej chwały;
Wieszczowie światła i wawrzynów chciwi,
Pierwszém zwycięztwem szczęśliwi,
Odyńce, lwy, gaje, skały,
Wiedli za dźwiękiem Arkadyjskich tonów
Orfejów i Amfjonów.
O! gdyby wspaniali wieszcze
Za czasów Ledy, Heleny, Semeli
Twój Brescianko głos słyszeli,
Milej zmyślaliby jeszcze;
Twémby pieniem czarowani,
Sławiące lutnie przynosząc ci w dani,

Przed twe Borgondjo progi,
Wiedli boginie i bogi.

Pamiętniki
Don ALFONSA de PERALDA.

W pamiętnej wojnie Francuzów przeciw niepodległym Hiszpanom, mały oddział żołnierzy Cesarskich, odciętym został od głównego wojska. Z trudnością przerznął się przez las w którym został otoczonym, wreście nad schyłkiem dnia przy samej drodze, zbliżył się do pięknego zamku, który podług zwyczaju Hiszpańskiego wysokiemi murami otoczony, miał widok na najpyszniejszą ulicę Kasztanów. Bramy zatarasowane, okna zamknięte znać dawały, że albo nikt w nim nie mięszka, albo właściciel nikogo przyjąć nie chce. Nadaremnie pukano, tylko psy wewnątrz wyjące zaświadczały że zamek nie jest opuszczony. W tém samo przez się, otworzyło się okienko w bramie, a mocny głos zawołał: — „Kto tam?" Oficer, który po Hiszpańsku mówił, odpowiedział że Francuzi proszą o posiłek, i o pozwolenie spocznienia. „Udajcie się do folwarku na-

leżącego do zamku — odezwał się tenże sam głos — weźcie czego wam potrzeba, i idźcie z Bogiem." My nie chcemy do fowarku, ale do zamku; otwórzcie natychmiast, inaczej gwałtu użyjemy. „Do zamku się niedostaniecie, jesteśmy zbrojni i zdolni siłą siłę odeprzeć. Biada napastnikowi."

Francuzi nie posiadali się od gniewu, nabili broń i żelaznemi drągami wyparli bramę od razu. Natychmiast oddział może z pięćdziesięciu ludzi złożony, dał ognia, a żaden prawie wystrzał nie chybił. Pomiędzy Hiszpanami stał bogato ubrany mężczyzna, który zdawał się być panem innych; przy jego boku walczył piętnasto lub szesnastoletni młodzieniec, z ujmującą i najprzyjemniejszą twarzą. Oba zachęcali swoich ludzi słowami i przykładem, a po każdym wystrzale pośród jęków umierających, odzywał się srebrzysty głos młodego Hiszpana: „Ognia! ognia na Francuzów!" Stawał on zawsze przed starszym, jak gdyby go chciał piersiami swemi zasłonić; ten mimo zapalczywości z jaką walczono, brał go za ramię, i stawiał za sobą; ale natychmiast odważny młodzian na przód się przedzierał. Oba byli ranieni, wreście młodszy odebrał postrzał który go dobił. Starszy co także upadł ale żył jeszcze, porwał się i krzyknął: „Zbójcy! czy już dość macie na tém!" Ustała bitwa, oficer zbliżył się do umierającego. „Los tego młodzieńca — rzekł — przejmuje mnie najżywszą boleścią. Mów, a może wam

będę mógł w czém usłużyć." „Jak to? Jesteś Francuzem a umiesz się litować — odpowiedział Hiszpan — Każ mnie zanieść do Kaplicy, w której już dawno grób mój jest gotowy."

Grób stał otwarty, a wkrótce ranny ducha wyzionął. Ta kaplica łączyła przepych z gustem. Na środku stał grobowiec czterema słupami podparty. Pod nim z białego marmuru, leżał posąg pięknej kobiety, która na ramieniu wsparta, zdawała się słodkim snem ujętą. Czarne sukno srebrem przeszywane, okrywało wyniosły katafalk. Po wszystkich czterech rogach gorzały pochodnie. Przy tém grobowcu, oddał oficerowi stary służący szlachetnego tak nieszczęśliwie poległego Peraldy zwinięte w trąbkę papiery, i kielich z Kokosowej łupiny wyrznięty. „Weźcie — rzekł — to naczynie i to pismo tak drogie Panu mojemu, żeby w tém zamięszaniu nie zaginęło." Papiery obejmowały historją Peraldy, ostatniego właściciela zdobytego zamku.

Peraldo przez ojca Don Pablo wychowany w jak najsurowszych prawidłach religijnych, wcześnie jednakże uległ czarownej sile miłości. Powołano go do Mexyku gdzie stryj bogaty pozostawił mu znaczne dziedzictwo; wspierany łaską Arcy-Biskupa, objął część spadku na siebie, druga część znajdowała się w Manilla, postanowił i tam się udać. W tym celu wsiada na okręt, który Don Gonzalesa

de Carvagnol nowego Rzędzcę tej osady, wraz z jego małżonkę Donnę Helenę, miał przewozić. W połowie podróży zapada Peralda na zaraźliwę chorobę. Konieczna ostrożność każe przenieść go na drugi okręt zwany Święty Michał, a znajdujęcy się w najgorszym stanie. Powstała burza i skołatany statek wyrzuciła na brzeg nieznajomej wyspy. Ocalała szalupa; na tę wsiedli ludzie okrętowi którzy zdrowymi pozostali. Peralda niebył w stanie znieść nowych trudów morskiej podróży. Dawni towarzysze opuszczajęc go, wybudowali mu chatę, a że żywność w znacznym zapasie na okręcie się znajdujęca, na szalupę przeniesionę być niemogła, przeto zostawiono jej Alfonsowi tyle; iż na długi czas od głodu był zaspokojonym. Ale został się sam, a w ten czas uczuł że człowiek wszelkiego towarzystwa pozbawiony, podobny jest do króla, który utracił wszystkich poddanych, bo oba tracę to, co ich istotę stanowi.

Już siedm miesięcy pędził Peralda samotne życie, gdy około jesiennego porównania dnia z nocę, powstała okropna burza. Przez pięć dni zdawało się że morze walczy z powietrzem o zniszczenie ziemi. Wreście piętego wieczora opuściło słońce już wypogodzone niebo. Noc jedna zatarła wszystkie znaki spustoszenia; a następujęce rano odkryło największę spokojność.

„Wyszedłem — opowiada Don Alfons nad morze, dla zebrania wyrzuconych ostryg i muszli, a napełniwszy niemi kosz cały, przykryłem go trawą i dalej puściłem się ponad brzegiem. Na około leżały muszle tysiącznych kształtów i kolorów; a pomiędzy niemi i ryby, których zupełnie nie znałem. Zdawało się, że podczas strasznej nawalnicy, morze w ostatnich głębiach wzburzone zostało. Dalej spostrzegłem ogromnego wieloryba, który na brzegu wyciągnięty, kiedy niekiedy bijąc w piasek silnym ogonem, i pokazując ostre zęby, jeszcze przytomnością swoją przerażał. Tak zapuszczając się coraz, stanąwszy na pobrzeżnych skałach, ujrzałem coś podobnego do łodzi, która tylnym końcem w piasek wgrzebana, przodkiem nad wodą stérczała. Porzuciłem wszystko com miał w ręku, pobiegłem bliżej i przekonałem się istotnie że to była łódź wielka. Mały maszt stał jeszcze cały, rozdarte żagle igrały z wałami, dwa szerokie wiosła, tkwiły po bokach. Wstąpiłem na najwyższą skałę, ażeby gdzie dojrzeć nieszczęśliwych ofiar rozbicia, i dopełnić dla nich ostaniéj powinności, gdym o kilka kroków spostrzegł leżące w trawie młode dziewczę cudnej piękności. Mocny sen zamknął duże powieki, piersi unosiły się mocnym oddechem. Stanąłem osłupiały, serce gwałtownie bić poczęło, nie byłbym się utrzymał na nogach, gdyby mnie skała nie wsparła. Przyszedłszy do siebie, zbliżyłem się do pięknej uśpionéj, z ostró-

żnością i inném jeszcze uczuciem, o którém już nie miałem żadnej wątpliwości.

Jak piękną była! Poznałem w niej rysy mięszkańców morza południowego, które wszyscy podróżni zgodnie uwielbiają. Ubiór miał w sobie coś dzikiego, jednakże był ozdobnym. Długie uploty czarnych włosów w nieporządku spadały na ramiona. Głowa spoczywała na jednej ręce, w drugiej trzymała naczynie z kokosowej łupiny, którego zapewne używała do czerpania wody; jedno kolano z pod skromnej zasłony wychodzące, świeżo było ranione.

Zaślepiony tylu wdziękami, pożerałem ją wzrokiem. Lecz wkrótce przyszło mi na myśl że mój widok mógłby ją przestraszyć. Spojrzałem na ubiór, którym nosił. Przy długiej brodzie, i w przetartych sukniach majtka, postać moja nie musiała być bardzo pociągającą. Lękałem się żeby we mnie nie chciała widzieć nieprzyjaciela. W tej niepewności postanowiłem cierpliwie czekać jej ocknienia, i potem działać stósownie do okoliczności. Widząc jak mocno jest uspioną, chciałem przejść na przeciwną stronę, by się jej lepiej przypatrzyć, gdy nastąpiona muszla tak mocno pod moją nogą skrzypnęła, że się piękna obudziła. Krzyknęła, zbladła, i drżała po całym ciele, wreście porwała się, a widząc iż tak jestem blisko że od razu wstrzymać ją mogę, cofnę-

ła się o kilka kroków. Mogłem był jej łatwo dogonić, lecz by nie powiększyć tak widocznej bojaźni, ukląkłem i wyciągnąłem ręce, alem ledwo to zrobił, gdy natychmiast chyża jak strzała, zwróciła się i pobiegła ku laskowi może o ćwierć mili odległemu. Stanąłem zadumiony. Szybkość jej biegu okazywała mi niemożność dognania jej, rozwaga nie pozwoliła ani myśleć o tém. Oprócz tego, iżbym był daremnie się trudził, obawiałem się zostać przedmiotem odrazy dla mojej lubej. Wziąłem inne przedsięwzięcie. Z udaną obojętnością, nie oglądając się na nią, szedłem ku lasowi. Oboje zrobiliśmy sobie plany, ja, żeby ją zatrzymać, ona, żeby ujść przedemną; i tak, skorom na dwieście kroków ku niej przystąpił, porwała się i zniknęła w gęstwinie."

Kilka dni szukał Alfons swojej zguby. Rozpacz dręczyła jego serce, gdyż tak młoda dziewczyna, bez wszelkiej pomocy w kniejach porzucona, do tego czasu zginąć mogła. W czasie tak dręczącej niepewności, znajdował często miejsca na których zgnieciona trawa zdawała się że służyła jej za łoże. Widział także z niektórych drzew za pomocą ostrego kamienia, korę obdartą; później dopiero dowiedział się, że nieszczęśliwa użyła jej na zawijanie rany swojej. Wreście po długich staraniach napotkał miejsce, które podług wielu znaków zdawało się być prawdziwém schronieniem tej której szuka, a straciwszy wszelką nadzieję zrównania jej biegiem, przed-

sięwziął ukryć się w krzakach, i dopóty czekać, dopóki jej w czasie spoczynku nie podejdzie i nie porwie. „Nieporuszony — opowiada sam Alfons — siedziałem w mojem ukryciu, i goręco modliłem się do Opatrzności, ażeby nareście zlitowała się nad moim smutkiem. Już większa część dnia upłynęła, straciłem wszelkę nadzieję, gdym nagle — jeszcze na to wspomnienie serce bije we mnie — usłyszał szmer między krzakami. Wstrzymałem oddech żeby się i tém nie zdradzić; słyszałem coraz bardziej zbliżające się coś do mnie, wreście ujrzałem ję. Około krzaka który mnie ukrywał, przeszła do pnia wichrem zwalonego. Usiadła może o dwadzieścia kroków odemnie. Ach już to nie była ta kwitnęca piękność, którę przed ośmiu dniami widziałem! Zdawała się ulegać osłabieniu i żalowi; chód jej był powolny, a jedno kolano świeżę korę obwinięte. Ubiór, który gdym ję pierwszy raz ujrzał, mimo całej osobliwości miał w sobie coś przystojnego, spadał w kawałki podarty. Okazała mi się obrazem zupełnej nędzy; tylko włos zdradzał staranność i miłość stroju, ozdobiony był czerwonemi kwiatkami, od których czarność jego tym mocniej odbijała.

Usiadła na zwaloném drzewie, z lękliwościę spojrzała w około, przybliżyła się do strumienia, i kokosowém naczyniem nalała wody na ranę, co zdawało się jej ulgę sprawiać. Nie spuściłem z niej oka, oczekujęc chwili pomyślnej, w ktorej bym ję

mógł przytrzymać, ale to wymagało największej ostróżności. Mimo osłabienia w jakiém teraz być się zdawała, bojaźń mogła jej siły dodać, a w tenczas byłaby dla mnie na zawsze straconą. Wreście, chwila oczekiwana nadeszła. Rrzuciłem się na nią, i nim się spostrzedz mogła, jużem był przy niej.

Nic nie wyrówna roskoszy, z jaką ukochaną zdobycz przycisnąłem do mego serca. Nie posiadałem się z radości, ale to nie długo trwało, bo ledwo ją zatrzymałem, krzyknęła, odwróciła się ze zgrozą, i z wyższą nad niewieścią siłę starała mi się wydzierać. Z bojaźni by jej nieurazić, nie używałem całej mocy, a tak gdym ją oszczędzał, ledwo nie wyrwała się z moich ręku. Czując się osłabioną, spoczęła na chwilę, żeby tym pewniej uwolnić się raptownem poruszeniem, jednak wszystkie jej wysilenia miały na celu własną obronę, żadnym nie chciała mi zrobić najmniejszej przykrości. Wreście opuściły ją siły, znużona, upadła na ziemię i zaczęła rzewnie płakać. Klęknąłem przed nią, przycisnąłem ją do serca, a widok krwawych śladów cierni, któremi była zraniona, wycisnął łzy z oczów moich. Teraz łagodniej spojrzała, szczęśliwe natchnienie zdało się jej mówić: że kto nad cudzém nieszczęściem boleje, ten jej przykrości pomnażać nie zechce. Zdawała się mniej przerażoną, użyłem tej chwili, siadłem przy niej, i ścisnąłem jej ręce których mi już nie wydzierała. Zaczęła znowu płakać, ale jej łzy spokojniej

płynęły, a twarz straciła ten wyraz zgrozy. Dobyłem cienkiej chustki którą przy sobie nosiłem, i otarłem spieczone jej lica; widać że ją przyjemnie chłodziła, bo wkrótce wzięła mi też samą chustkę, i przyłożyła do twarzy. Jakąż roskosz uczułem w sobie! Była to pierwsza poufałość między nami. Nie puszczając jej ręki, wstałem i dałem znak żeby toż samo zrobiła, pokazała mi że chce na swojém miejscu pozostać, lecz nie zważając na to, wziąłem ją i lekko uniosłem.

Takim sposobem młoda nieszczęśliwa dostała się do chaty Alfonsa. Tu Don Alfons opatrzył jej ranę, i tyle ją samą uspokoił, iż przecie zasnęła, lubo wpośród łez i westchnień. Troskliwość i uprzejmość z jaką dogadzał jej potrzebom, ujęła jej serce. Kochali się wzajemnie z najżywszą czułością. Od pierwszej młodości natchnione w Alfonsa zasady religijne, rozwinięte samotném rozważaniem wielkich widoków natury, związkowi jego z uratowaną nieznajomą, nadały osobliwy charakter. „Gdybym — tak mówił do siebie — poszedł za popędem moich skłonności, do jakiegoż celu doprowadziłoby mnie takie postępowanie? To dziecię jest w moim ręku, nieumiałoby się opierać, lecz cóż mi po takiém zwycięztwie któreby nas oboje uniżyło? Mamże naśladować dzikich niewolników przypadku i namiętności, czyli dopomódz widokom Opatrzności, która mi ją za towarzyszkę życia zesłała? Nie! nie

mam tu w czém wybierać. Chcę ję oświecić, chcę ję nauczyć jej powinności, chcę obudzić w jej sercu uczucie cnoty i godności kobiecej. A w tenczas gdy jej okażę jak mocnę broń niebo dało niewinności, w tenczas będę się starał poruszyć jej serce, którem ozdobił, i zmiękczyć cnotę którę utworzyłem." I przed obrazem N. Panny przysięgł Peralda, na cześć szlachetnego Hiszpana, dopełnić tak świętego przedsięwzięcia.

Stale dochował Alfons ślubu swojego. Powoli uczył swę lubę Hiszpańskiej mowy, a wzajemne zrozumienie się podwoiło szczęście którego byli godni. Z weselem opowiedzieli sobie, jakie przypadki ich złęczyły. Towarzyszka Alfonsa była córkę Króla jednej z wysp na Południowym Oceanie rozproszonych. W piętnastym roku miała być zawiezionę na innę wyspę ażeby tamtejszego władzcę zaślubić. Burza porwała słaby okręcik i wyrzuciła na skały, wszyscy jej towarzysze zginęli, sama tylko lubo zraniona w kolano, dostała się do lędu. Alfons zapytał jej czyli którego młodzieńca w narodzie swoim nieprzenosiła nad innych? „Nigdy — rzekła otwarcie — ale wkrótce byłabym przymuszonę oddać się jednemu." Ta odpowiedź napełniła go radościę, i rozpędziła jedynę przeszkodę której się do tego czasu obawiał. Marja — takie albowiem imie nadał Alfons swojej ulubionej — opowiedała dalej jakich doznała przykrości w tych kilku dniach w których nie-

wypowiedzianą przejęta bojaźnią, uciekała przed Alfonsem.

„Wiele, ah wiele ucierpiałam — rzekła z anielskiem spojrzeniem — bez ciebie byłabym pewno zginęła.” Nadewszystko pewnego rana, strawiwszy noc pod drzewem, zupełnie zdrętwiała od zimna. Długo nie mogła przyjść do siebie, aż nareście zaczołgawszy się na miejsce słońcem ogrzane, ledwo że odzyskała władzę swoję. Żyła z korzonków i owoców które znała. Pokazała przyjacielowi swemu szczątki łoża z gałęzi uplecionego, na którém się w czasie nocy ukrywała. Sto razy Alfons przeszedł koło niej. Widziała go z swojej kryjówki, ale gorliwość z jaką jej szukał, pomnażała zgrozę którą powzięła ku niemu.

Piękne były przedsięwzięcia Alfonsa, lecz długa walka z samym sobą osłabiła jego zdrowie. Czuł się bliskim śmierci, a ta smutna nagroda przykładnej cnoty, wyciska na nim te słowa: „Czemuż morze nie pochłonęło mnie wraz z moimi towarzyszami?” Marja w rozpaczy: „Alfonsie — rzekła — chcesz umrzeć, chcesz mnie porzucić! Ale wiedz, że nas śmierć nie rozdzieli. Jeśli cię stracę, tam — pokazała na morze — tam grób mój znajdę, a ostatnim będzie żalem moim, iż popiołów moich nie połączę z twoimi. „Boże — zawołał Alfons — w tenczas moje nieszczęście byłoby bez granic. O Marjo! ty która z obawy nieprawego związku boisz się zostać

mojo małżonko, czyliż mogłabyś się odważyć na tako zbrodnię!" Z temi słowy — opowiada Alfons — ogarnęła mnie niewymowna żałość, zimny pot wystopił na czoło, czułem się bliskim smierci. Marja spojrzała na mnie z najtkliwszém uczuciem. „Alfonsie! zaklinam cię na wszystko co ci jest świętém, mów, czyli ta jedynie przyczyna skraca życie twoje. Nie ukrywaj mi niczego, wszak to idzie o ciebie." Skinieniem przyznałem co mówiła. „Więc poznaj — rzekła — cało miłość moję, jestem gotowa na wszystko."

Te słowa przywróciły go do życia, i by wzajemnym życzeniom dogodzić, postanowili zwiozkowi swemu nadać świętość przyzwoito Przygotowawszy się poprzedniczo modlitwo i postem, uklękli przy stole na którym stał Krzyż z Bibljo. Alfons złożył pierwszy przez Kościół nakazano przysięgę, Marja zrobiła toż samo. Potém nad święto Księgo podali sobie ręce, z przyrzeczeniem uprawnienia tego zwiozku przez zwierzchność Kościelno, skoro okoliczności dozwolo. Natura, najświetniejszém słońcem i najweselszém niebem zdawała się uśmiechać tej uroczystości, ale Marja utraciła cało spokojność. „Ta pogoda — rzekła do Alfonsa — przeraża mnie. Lękam się, czyli nas nie zwodzi. O mój przyjacielu! któż pojmie Boskie wyroki?"

Jeszcze nowa pociecha, uprzyjemniła ich sa-

motność. Marja została matką. Pod tém szczęśliwém niebem godność matki przychodzi bez boleści, ale słodkiemu związkowi brakowało błogosławieństwa Kościoła, ta jedna myśl dręczyła Marją, i truła szczęście obojga.

Pięknego poranku siedzieli przed chatką, gdy z niewypowiedzianém zdziwieniem usłyszeli wystrzał armatny. Marja zbladła. „Jesteśmy ocaleni" — krzyknął Alfons z uniesieniem; z szybkością strzały wybiegł po za drzewa, które osłaniały jego mięszkanie, i ujrzał w niejakiej odległości, okręt kotwicami ujęty. Łódź wielka krążyła po nad brzegiem, szukając miejsca do wylądowania. Alfons pobiegł do Marji, uspokoił ją, i prosił, żeby usiadła na miejscu z kądby wszystko widzieć mogła; on sam pobiegł na przeciw swoich wybawców.

Już wylądowali, ośmiu w liczbie, z bronią w ręku, na wszelki przypadek napaści. Alfons, zbliżył się do tego który mu zdawał się być naczelnikiem, i z pełnem uczuciem przycisnął go do serca. Język przybywających był mu obcym, lecz jeden majtek który umiał po Hiszpańsku posłużył im za tłumacza. Okręt należał do Holendra, płynął z Batawji do Amboiny; mocny wiatr przymusił go do zboczenia z drogi. Mijając tę wyspę, ujrzano podartą chorągiew którą Alfons wystawił, zaraz Kapitan kazał zarzucić kotwicę, sam na wielkiej łodzi popłynął do brze-

gu, i szczerze wynurzył Alfonsowi radość swoję, że może stać mu się użytecznym. Oba poszli do Marji, którą nie mało zdziwiły nieznajome postaci, ubiory obcych gości, a nadewszystko twardy język którym między sobą rozmawiali.

Kapitan zgodził się z Alfonsem, że go za nagrodę dziesięciu tysięcy piastrów, wraz z Marją do *Cavité* przewiezie. Podróż szła szczęśliwie; wkrótce ujrzano pożądane brzegi.

Pierwsze kroki swoje poniósł Alfons do Kościoła, ztąd pobiegł do Don Gonzalesa rządcy osady i do małżonki jego Donny Heleny, której Marją przedstawił. Przytomny Arcy-Biskup, przyśpieszył dopełnienie życzeń Marji, a związek jéj z Alfonsem, natychmiast postanowiono uświęcić uroczystością Kościelną. Stary zakonnik otrzymał zlecenie badania Marji, nad dawnym sposobem sposobem jej życia. Niewinność i prawda z jaką mu wszystko opowiadała, wzruszyły pobożnego męża, a Donna Helena wylała łzy najtkliwszej rzewności. Po zwyczajnych napomnieniach, Kapłan utwierdziwszy Marją w nauczonej przez Alfonsa wierze, na jutro zaraz odłożył pobłogosławienie ich związku.

Pożądana uroczystość odbyła się z największą świetnością. „Po jej dopełnieniu — mówi Alfons — opuściliśmy Kościół, z licznym orszakiem, i już mieliśmy wsiadać do powozu, gdy nas otoczyło mnó-

stwo żebraków. By się od nich uwolnić, dałem Marji srebro którem miał przy sobie; po czém nas z tysiącznemi błogosławieństy opuścili; tylko mała dziewczyna z twarzą pełną znaków świeżo wytrwanej ospy, czepiała się za suknię Marji, i odstąpić jej niechciała. Ten widok napełnił mnie zgrozą. „Precz nieszczęśliwa!" zawołałem. Marja spojrzała na mnie z podziwieniem. „Jak to Alfonsie, czyliż cierpiąca istota, nie ma żadnego prawa do twojej litości?" To mówiąc, wzięła dziewczynę za rękę odkrytą niezagojonemi szwami. „Zobaczę — dodała — czyli nas obie odepchnie. Alfonsie! dajże co tej biednej."

To wszystko tak prędko zrobiła, żem nie był w stanie jej przeszkodzić. Dopełniłem czego chciała, smutek przejął duszę moją, lękałem się skutków nieroztropnej jej litości, ale ukrywałem przed nią niebezpieczeństwo na które się naraziła. Zakończył się wreście ten dzień, odbieraniu i oddawaniu powinszowań jedynie przeznaczony. Sam przecież pozostałem z Marją. „Drogi Alfonsie — rzekła z uniesieniem — przeminęła moja niespokojność. Już mogę bez wyrzutów sumienia doznawać słodyczy kochania ciebie, i być wzajemnie kochaną." Z temi słowy, przycisnęła mnie do serca, a wszystkie smutne wyobrażenia, które mnie dotąd dręczyły, zniknęły przy szczęściu, jakiegom teraz doznawał.

Następującego poranku gdym się obudził, Marja jeszcze była słodkim snem ujęta, niestety! — już to był sen śmierci.

Istotnie umarła na ospę, zaszczepioną jej przez owę nieszczęśliwą dziewczynę. Syn, którego troskliwość Donny Heleny wczesnem oddaleniem uchroniła od okropnej zarazy, pozostał przy życiu. Don Alfons pozbawiony jedynej w życiu pociechy, wrócił do Europy, żył samotnie w zamku w którym żonie swojej pomnik z marmuru wystawił; i on to ze swoim synem w niewczesnej obronie legł pod razami obcych wojowników.

Pieśń Poranna przed bojem.

z *Ossjana.*

Morze się cofa, wał na wał ciśnie,
    Z hukiem w skaliste nadbrzeża bije.
Czuje że wkrótce słońce zabłyśnie,
    Co pole bitwy mężnym odkryje.
O synu Nieba, jakżeś straszliwy,
Gdy grzejesz wojska tłum zapalczywy,

Lecz jakżeś miłym jest myśliwemu,
Którego zaszła przy skale burza,
Gdy za chmur błyśniesz, i przemokłemu,
Osuszasź włosy, oświecasz wzgórza.
Oświecasz pola. On patrzęc na nie,
Widzi jak skoczne bujaję łanie.

Słońce dopókiż będziesz odkrywać,
Na smutnej ziemi wojenne wrzawy?
Dopókiż będziesz bieg twój odbywać,
W pośrodku nieba, jak puklerz krwawy?
Widzę że liczne rycerzów cienie,
Ćmię w koło twoje świetne promienie.

Lecz jakże błądzi Karyla pienie!
Syn nieba żalów naszych nie czuje.
Zawsze sę czyste jego promienie,
Wśród nich się w biegu swoim raduje!
Biegnij nieczuły... lecz choć tak biegniesz.
Pod czarnę szatę sam kiedyś legniesz. (*)

(*) *Czarna szata znaczy zaćmienie Słońca.*

DWA NACZYNIA

Bajka

przez Kazimierza Puchałę.

Często przeciwną gramy na tym świecie rolę,
Dwa obok siebie stały naczynia na stole;
Jedno porcelanowe, drugie z prostej gliny,
W pierwszém była trucizna, a w drugiém maliny.
Widząc to że go zwierzchnia pozłota bogaci,
Drugiemu wyrzucało niezgrabność postaci:
Ale w tém wszedł Pan domu tę przerwawszy mowę,
Widząc oba na stole, wziął porcelanowe:
Ach! krzyknie, to trucizna, jakże pozor zwodził!
Wziął drugie, malinami smakowi dogodził;
Nakoniec rzekł odchodząc: Tak to często bywa,
Nie zawsze piękną duszę, sklnąca postać miéwa.

Słowo Szarady w Numerze 27. umieszczonej, jest *Słoń-ce.*